

Konieczność zdobywania punktów i grantów nie zrobi z adepta naukowca. A co innego robi przeciętny polski akademik?

Monika Kostera, Anna Musiała

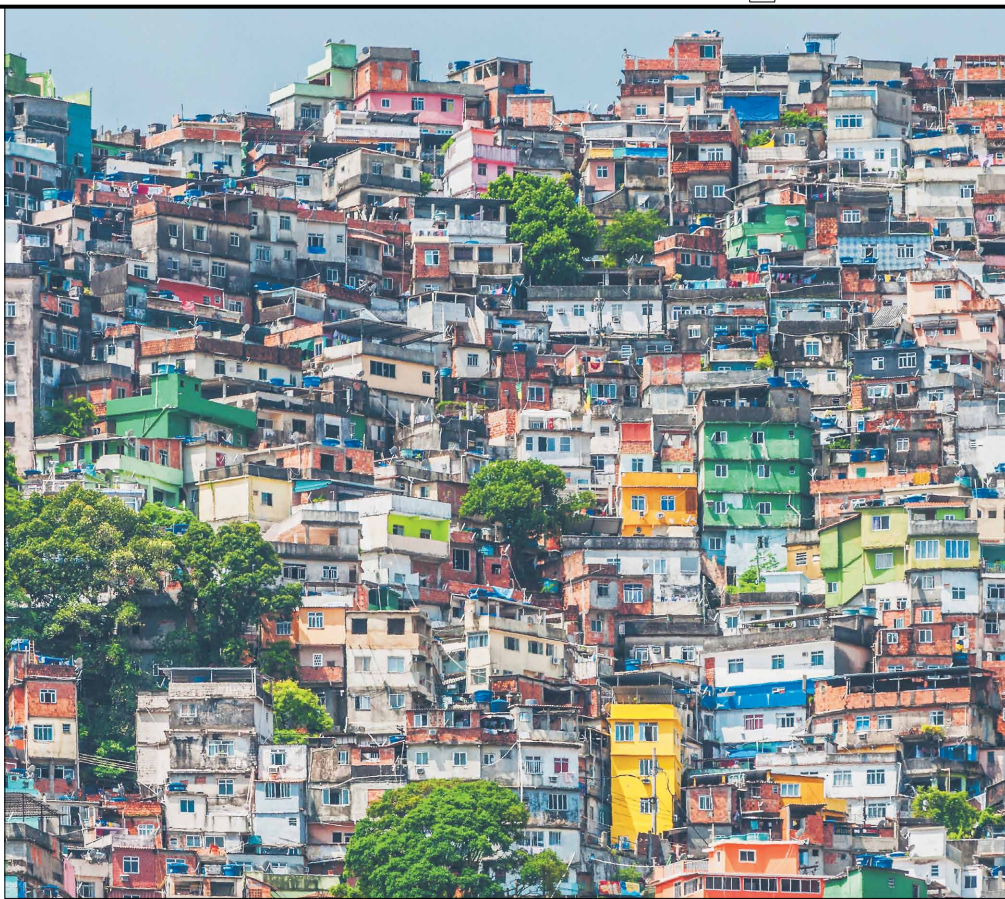
Bardzo często słyszy się opinie polskich uczonych, że niedawna reforma nauki miała swoje wady i są one nawet momentami bardzo poważne, ale przynajmniej spowodowała jeden ogromny przełom – nasza nauka „zaistniała w świecie”. Nastąpił wysyp publikacji polskich autorów w międzynarodowych pismach naukowych, zaczęły rosnąć indeksy cytowań naszych uczonych. Przyznają to z pewnym żalem ci, którzy uznają siebie samych za przegranych tej reformy i należących do odchodzącej epoki. Szczyczą się tym młodzi, którzy z przepastnej poczekalni polskich akademickich karier wypływają teraz na szczyty widoczności, sławy i instytucjonalnej mocy.

Tymczasem dla osób systematycznie aktywnych od dłuższego czasu w tak zwanym międzynarodowym życiu naukowym sytuacja ta jawi się bynajmniej nie jako sukces i zwycięstwo polskiej akademii, lecz jako kolejna – być może fatalna w skutkach – porażka. Fundusze, które zostały przeznaczone na wejście naszej nauki do międzynarodowych pism, to ogromne kwoty pochodzące z portfela polskiego podatnika. A i to „wejście” jest bardzo pozorne. I nawet niektórzy celebrycy je zaczynają powoli dostrzegać, jak bardzo słabe są często teksty, które publikują, jak słabo są napisane, fatalnie przetłumaczone i... jak dużo to kosztuje. Niezwykłe drogi jest sówicie wynagradzany wydawcom open access (otwarty dostęp, bez konieczności wnoszenia opłat przez czytelnika) wykupywany dla całych książek, które owszem, będą ściągane z sieci, ale przez polskich podwładnych autorów i studentów, którzy w innych czasach zyskaliby (taniej) dostęp do manuskryptów lub wersji plików przedpublikacyjnych. W rozmowach kulturalnych krąży wrażenie kwoty, jakie wiążą się z zamieszczeniem tekstu w międzynarodowym piśmie. Jednak ci, którzy publikują w poważanych tytułach z zakresu nauk społecznych, wiedzą, że pisma te nie pobierają opłat, a sam wymóg wnoszenia tychże jest sygnałem, że pismo nie cieszy się szacunkiem w międzynarodowym środowisku naukowym i być może jest wręcz uznawane za „drapieżne”, czyli będące przedsięwzięciem jedynie komercyjnym, bez naukowych aspiracji ani możliwości.

O rozmowie

Środowisko zaczyna się też powoli orientować, jak mało ten urodzaj publikacyjny wnosi. Teksty spotykają się ze słabym odzewem. Polscy autorzy powołują się nawzajem na siebie, co sprawia, że indeksy idą w górę. Jedno, czego system nauczył się natychmiast, to rozgrywanie parametryzacji, czyli dokładnie to, co jest chyba najważniejszą jej patologią, bowiem jak dowodzi Jerry Z. Muller w książce „The Tyranny of Metrics” – a co o wiele wcześniej Witold Kieżun opisał w „Autonomizacji jednostek organizacyjnych” jako zjawisko przesunięcia celów – uczelnie i uczeni zajmują się czymś innym niż ich właściwa praca. Starą miarą oceny był jakościowy wkład w naukę. A co właściwie wnoszą te artykuły, co mówią takiego, co nie zostało powiedziane wcześniej? By tekst był częścią wielkiego, żywego systemu zwanego nauką, musi być głosem w istniejącej rozmowie naukowej, która krystalizuje się w większe – spójne i niespójne – idee, które wzajemnie ze sobą polemizują, tłumaczą lepiej lub gorzej elementy i dynamikę świata, w którym żyjemy. Zbyt często efekty wysypu polskiej, poreformowej produktywności nie są takim głosem, lecz jedynie indywidualną wypowiedzią, monologiem.

Wydane na tę klęskę publikacyjnego urodzaju pieniądze mogłyby wesprzeć dogorywające polskie wydawnictwa naukowe, które



Jak zbudować fawelę

mogłyby przywrócić dawny tryb działania, zatrudnić redaktorów prowadzących, zając się popularyzacją i dystrybucją. A do tego, ten, kto za to płaci, mógłby zobaczyć efekty tej działalności. Tymczasem za następnym zakretem historii prawdopodobnie stoi już podatnik odmawiający finansowania przekrętu zwanego „nauką”.

Zostawcie te tabelki!

Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji? Proponujemy odwrót od wskaźników i powrót do treści. Dziesięć lat temu powstała DORA – deklaracja z San Francisco na temat oceny badań naukowych. Do połowy 2022 r. podpisało ją 19 431 osób i 2617 instytucji ze 159 krajów świata. DORA gromadzi uczonych i instytucje naukowe gotowe do pracy u podstaw w celu oparcia oceny uczelni przede wszystkim na treści i jakości pracy naukowej i przywrócenia profesjonalizmu pracy naukowej – czyli systemu promującego zaufanie w relacji między społeczeństwem a naukowcami i nauką. By to było możliwe, konieczna jest intensywna wzajemna komunikacja, a więc pisanie i ogłaszanie wyników przede wszystkim z myślą i w trosce o społeczeństwo i podatników, którzy tę naukę utrzymują. Musimy pisać także po polsku, dbać o więzi z dziennikarzami i popularyzatorami nauki, zrobić wszystko, co możemy, by zaufanie społeczeństwa do nauki i naukowców wzrosło. Szwedzi już od jakiegoś czasu promują taką postawę i dzięki temu zawód uczonego cieszy się dużym szacunkiem społecznym. Innymi słowy, trzeba jak najszybciej zawrócić z drogi tzw. rozwijania nauki. Bo nie tylko

nie następuje prawie żaden jej rozwój, lecz nierzadko dochodzi do gigantycznych szkód, a czasem i ośmieszenia jej i adeptów.

Dziś nauka została sprowadzona do punktów i innych wskaźników, w tym czysto finansowych. Naukowiec ma przede wszystkim dostarczyć uczelni punktów, które wydział wpisze do tabelki i przekaże wyżej, co po zsumowaniu z tabelkami z innych wydziałów da miejsce w rankingu. W tym układzie badania w terenie, czytanie, rozważanie, poważna dyskusja – a więc coś, co powinno zajmować istotną część czasu naukowca, bowiem nawet znacznie pisać, powinien dokonać rzetelnej pracy właściwej, a potem przedyskutować zajmujące go kwestie z innymi akademikami – zanikają. W ten sposób giną także naukowe relacje, akademicki etos, kultura pracy naukowej. Co więcej, nauka realizowana na zasadzie projektów jest sfragmentaryzowana i nie kumuluje się w system wiedzy. Stawiając najpierw sławkę, a potem sypialnie, nie zbuduje się domu, co najwyżej fawelę. Żeby zbudować dom, potrzebny jest zamysł. A żeby był piękny i funkcjonalny, potrzebne jest systematyczne myślenie i całościowe działanie. Podobnie jest z nauką. Na bazie projektów powstają nielączące się w całość fragmenty. W naukach ścisłych jest nieco inaczej, ale one i tak cieszą się większym szacunkiem społecznym i nie potrzebują tak silnie naprawy.

Wykreowaliśmy postać naukowca, który ma niewiele wspólnego z Nauką, tą pisaną od wielkiej litery. To po prostu ktoś, kto ma napisać „coś”, właściwie „cokolwiek”, co przyniesie punkty – jak najwięcej punktów (może to tłumaczyć popularność modnego



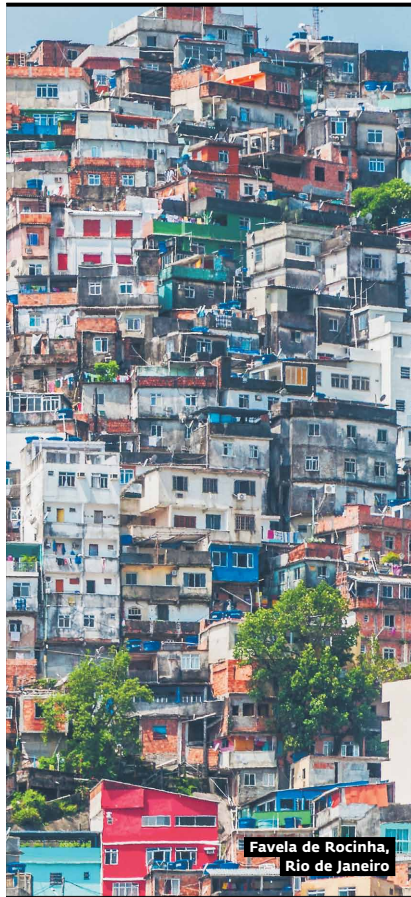
MONIKA KOSTERA

profesor socjologii na Uniwersytecie Warszawskim, profesor zarządzania na Uniwersytecie Södertörn (Szwecja) i w LITEM, l'Université Evry Val d'Essonne, Francja



ANNA MUSIAŁA

profesor nauk prawnych, specjalistka w zakresie prawa pracy. Pracuje na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dyrektorka Centrum Badań Zaawansowanych UAM



Favela de Rocinha,
Rio de Janeiro


Źródło: Photo Bank / Alamy.com / Moment / R. G. G. / iStock

daje się mnóstwo pieniędzy na tłumaczenie tekstów, których prawdopodobnie nikt nie przeczyta. I tu dochodzimy do kolejnej kwestii: znajomości języków obcych. W zasadzie mało kto pisze tekst sam, ale oddaje do tłumaczenia, za które uczelnia (czyli podatnik) płaci. A przecież znajomość kilku języków obcych powinna być w przypadku naukowca czymś zupełnie oczywistym. Dziś zajmujący się naukami społecznymi akademik w Polsce posługuje się najczęściej językiem angielskim, nie zdając sobie sprawy, jak szeroka przestrzeń humanistyki została merytorycznie zubożona przez ostatnie 30 lat w wyniku amerykańskiej polskiej nauki. Nie chodzi tylko o język, ale o czytanie w tym języku lektury, recepcję myśli i kontakty. Zapomniano, że języki obce to „wyposażenie” naukowego warsztatu. Ale tak musiało się stać, bo w przypadku wielu akademii to miejsce, gdzie „wyrabia” się tylko papiery z tytułami, a pracuje się „poza”.

A zatem trzeba – jak trafnie wskazuje Alain Supiot w artykule pod tytułem „Du bon gouvernement de la recherche” (O dobrym zarządzaniu badaniami) – wrócić do modelu, który się sprawdził i który przynosił realną korzyść społeczeństwu: modelu, w którym tematy się dyskutuje, zanim cokolwiek się pisze. W przeciwnym razie będziemy zalewani masą publikacji (po angielsku) bijących co najwyżej trochę piany i drenujących publiczny budżet. Mamy dziś – a co gorsza, chyba tak pozostanie – budynki, sale multimedialne, biblioteki z tekstami w otwartym dostępie, a społeczne problemy leżą odległymi. Prawie już nie znajdujemy naukowych propozycji ich rozwiązania. Bo nie ma warunków, aby myśl naukowa powstawała. Uczelnia wkomponowana w biznes, oparta na punktach, coraz bardziej się stacza. A wraz z nią musi tracić „naukowca”. Trudno nawet żądać podwyższenia jego materialnego statusu, bo niby za co mu jeszcze płacić? Za produkcję punktów?

Są momenty, czasy, przełomy, gdy udział nauki w prawdziwym życiu jest możliwy i wtedy tworzą się ferment, odwilż. Jednak na co dzień dominuje w naszym kraju, jak dowodziła Krystyna Bolesta-Kukułka w książce „Gra o władzę a gospodarka”, kultura władzy używająca języka wartości do legitymizacji samej siebie. W praktyce powoduje to, że uczestnicy systemu traktują poważnie użycie takiego języka tylko przez osoby z władzą związane. O wartościach może mówić tylko ktoś, kto ją ma albo do niej pretenduje. Jeśli wypowiada się o nich ktoś pozbawiony władzy i niezainteresowany jej zdobyciem, to jest traktowany przez władzę jako potencjalny konkurent, podwładni takiego głosu w ogóle nie słyszą lub też traktują go z pogardą i agresją (to świetna okazja do odreagowania swoich frustracji i upokorzeń). Jeśli przypomina to państwu dwór Ludwika XIV i jego następców, to bardzo słusznie – był to szczególnie rozwinięty przykład tego typu kultury. Nie tylko nie sprzyja ona dobru wspólnemu, lecz także prowadzi do oderwania debaty i imaginarium publicznego od realiów, w jakich żyje społeczeństwo.

Najsmutniejsze jest to, że naukowcy się temu poddali. Nawet nie protestują. Potulnie ożywiają ducha kapitalistycznej nauki, dostarczając uczelni punktów, a czasopiśmiom tekstów, te sprzedają je za grube pieniądze. Interes się kręci. Co gorsza, nawet nie zauważyli, że czołowe uniwersytety, jak Harvard, Yale i Berkeley, od punktów już zupełnie odstępują. Nie zauważyli, bo zauważyć nie mogli, tak bardzo zajęci są zliczaniem tabelki. Nie spotkałyśmy się w żadnym z krajów, gdzie jesteśmy naukowo aktywne, tak powszechnej postawy konformizmu i akceptacji rynkowych reform nauki jak w Polsce. Dyskurs zarządzający wszedł tu do języka powszedniego. Ucenie cieszą się w mediach społecznościowych uzyskaniem wartego tyle a tyle grantu i nie przychodzi im do głowy, że po pierwsze, konieczność ciągłego organizowania pieniędzy na krótkotrwałe projekty świadczy o poważnej dysfunkcyjności systemu, a po drugie, przypominają człowieka, który miał zbudować sobie dom i cieszy się, że udało mu się zgromadzić 3 tys. cegieł.

Jeśli chcemy być szanowani, to urzeczywistnijmy dobro wspólne. Wejście do międzynarodowych rankingów będących niezwykle skomplikowanymi i nieprzejrzystymi narzędziami zarządzania marką de facto po to, by anglosascy zwycięzcy mieli z kim wygrać, jest, chyba możemy się co do tego zgodzić, aktem dziwnego altruizmu. Albo zbyt wielkiej czołobitości wobec Ludwików naszych czasów. 

obecnie idiomu „popęlić artykuł”). Nieważne, co właściwie chciał powiedzieć. Trudno się zatem dziwić, że nie sposób angażować ludzi do spotkań i rozmów. Nie sposób też budować przestrzeni akademickich rozmów ze studentami, bo w żaden sposób nie przynosi to punktów. Zwyczajnie się nie opłaca. Kapitalizm zjadł naukę – nastąpiła jej urynkowanie. Uczelnia bowiem, chcąc awansować w rankingi, zwiększa „normy”. Punkty są zaś najbardziej wymierne. Muszą się pojawiać przypadkowe publikacje, bo nikt nie widzi żadnej całości naukowej pracy – całościowo widzi się wyłącznie tabelkę z punktami. Inspirujące dzieło, które mogłoby poruszyć umysły, jest w niej nie do odróżnienia od narcystycznego gniotu bez żadnej treści.

Po co jest naukowiec

Punkty to rywalizacja, a jeśli jest rywalizacja, to nie ma mowy o budowaniu dobra wspólnego. Zostaje „moja” rubryczka w tabelce. Część środków rozpraszanych na wydawnictwa typu „vanity press” (czyli publikowanie, żeby mieć publikację) należałoby skierować na pracę u podstaw – z zacytowaniem, których jest więcej w polskiej akademii istnieje. Obie spotykamy się z autentycznym głodem nauki i ze straceńcami, zdawać by się mogło, działaniami uczonych decydujących się rozmawiać ze sobą, czytać i pisać bez stawiania punktów na piedestale. Osoby będące częścią żywych – w tym międzynarodowych – środowisk naukowych powinny uzyskać pieniądze i warunki, by intensywnie zapraszać gości z zagranicy, aby włączali w rozmowy polskich uczonych. Nie powinno zabraknąć środków tym, którzy za własne pieniądze jeżdżą na konferencje po to, by móc rozmawiać na tematy naukowe, które ich obchodzą. Obecna polityka polega zbyt często na tym, że wyjazdy i środki na umiędzynarodowienie traktowane są jako nagrody w systemie władzy za takie typowe dla niego cechy jak lojalność, usłużność, niekontrwersyjność. A one kłócą się z etosem naukowym.

Dobro wspólne to nie tylko sprawa samej nauki, choć to i tak bardzo dużo. To także sprawa kontekstu, czyli społeczeństwa, które tę naukę utrzymuje. Ciągłe kompleksy polskiej nauki względem mitycznego „Zachodu” każą publikować w językach obcych. Najlepiej wszystko po angielsku. Mało kto zastanawia się nad tym, że to charakter zagadnienia determinuje język. Są bowiem tematy, których rozwijanie w obcym języku jest stratą czasu, sił i pieniędzy – bo nie ma większego sensu. Tymczasem wy-

WYWIAD

Dlaczego wykładowcy nie palą opon

Nie wiem, dlaczego akademicy pogodzili się z tym, że młody wykładowca będzie otrzymywał 5 zł ponad minimalną pensję. Sytuacja już dawno dojrzała do powszechnego strajku



ŁUKASZ KIERZNOWSKI

doktor prawa, Wydział Prawa Uniwersytetu w Białymstoku

Z Lukaszem Kierznowskim rozmawia Urszula Mirowska-Łoskot

W raporcie Klubu Jagiellońskiego „Rząd pod Lupą 2022” ocenił pan politykę publiczną państwa w obszarze szkolnictwa wyższego i nauki na 2+. Dlaczego tak nisko?

Obserwacja polskiego systemu szkolnictwa wyższego i nauki skłania do jednego wniosku – jesteśmy w zapaści. W raporcie gorzej wypadł tylko wymiar sprawiedliwości. Wprawdzie już od wielu lat sektor akademicki mierzył się z chronicznym brakiem pieniędzy, co sprawiło, że możliwości jego rozwoju nie były adekwatne do ambicji naszego narodu i wyzwani współczesności. Jednak obecnie skala tego niedofinansowania przybrała postać tak skrajną, że uczelnie mają trudności z wykonywaniem podstawowych zadań, a także z odtwarzaniem kadr naukowych – na takich warunkach, jakie proponują, dobrzy absolwenci szkół wyższych nie chcą zostawać i podejmować pracy naukowej.

Przebież 1 stycznia były podwyżki...

Nie, to manipulacja resortu nauki, dla większości żądanych podwyżek nie było, jedynie na papierze podciągnięto wynagrodzenia minimalne do stawki, którą i tak w praktyce wypłacano dotychczas. Ale nawet gdyby podwyżki były, to dodatkowe 5, 10 czy 15 proc. niewiele zmienia, bo pensje akademickie i rynkowe dzieli przepaść.

Ile dziś zarabia się na uczelniach?

Pensje młodej kadry naukowej i pracowników administracyjnych oscylują wokół płacy minimalnej, więc te podwyżki służyły tylko temu, aby pensje od 2023 r. nie spadły poniżej niej. Jednak w ujęciu realnym oraz w porównaniu z wynagrodzeniami w gospodarce pensje akademików nie rosną, nie stoją nawet w miejscu, lecz stale spadają. Profesorowie mają zapewnioną około dwukrotność pensji minimalnej (jeszcze niedawno była to trzykrotność), choć problem tej grupy nie jest aż tak palący, bo ich płace powiększają dodatki stażowe, funkcyjne i inne możliwości zarabiania w nauce (recenzje, komisje itd.). Gorzej z doktorantami, bo oni przed oceną śródkresową mają zdecydowanie mniej, niż wynosi nawet minimalne wynagrodzenie – otrzymują stypendium w wysokości 2667,7 zł, a płaca minimalna wynosi obecnie 3490 zł. Wybierając doktorat, absolwent studiów ma więc gorszą sytuację finansową, niż miałby, podejmując jakąkolwiek legalną pracę.

To jest paradoks, że naukowcom odmawia się partycypowania w efektach wzrostu gospodarczego i oferuje stawki osmieszające polskie państwo, podczas gdy sukcesy gospodarcze Polski ostatnich 30 lat nigdy by nie zaistniały, gdyby nie akademicy, którzy wzięli na barki wielkie wyzwanie wykształcenia Polaków. 